Nr. 18. Lwów, 15. września 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC

Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

1. Radwański Ludwik.
2. Czerski Rawicz Antoni.
3. Kamieński Franciszek.
4. Łysakowski.
5. Rogoszewski Stanisław.
6. Solak Jan.
7. Chmielewski Wincenty Dr.
8. Hanuszczak Dymitr.



Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

Ciąg dalszy.

Równocześnie z zajęciem przez kurki gniazd i z rozpoczęciem pracy wysiadywania zaczyna funkcyonować także sztuczna wylęgarnia, której powierzają jaja kuropatw i bażancic, jeżeli złożone zostały poza obrębem ogrodzeń, lub też z jakiegokolwiekbądź powodu nie mogą być przez matki wysiadywane.

Co się tyczy jaj kuropatw czerwonych, z których wykłuwające się pisklęta mają być powierzone kuropatwom szarym na wychowanie, to muszą one być podłożone pod kuropatwę szarą i to bardzo zręcznie i niepostrzeżenie. Dzieje się to wtedy, gdy kuropatwa skończyła już składanie jaj i ma się zabrać do ich wy-

siadywania. Strażnik musi skorzystać z chwili, kiedy kurka wyszła szukać pożywienia, i szybko wyjąć jaja, znajdujące się w gnieździe, a podłożyć równą liczbę jaj kuropatwy czerwonej. Kurka, która nigdy się nie oddala daleko od gniazda, widzi strażnika manipulującego w okolicy gniazda i przygląda się tej manipulacyi z niepokojem — zaraz po jego oddaleniu się, przybiega do swego skarbu i musi go zastać tak nienaruszonym, jak go zostawiła. Nie może więc krzewu i gałązki, które osłaniają gniazdo, inaczej ułożonych nad niem znaleść, niż przedtem, w przeciwnym razie zraziłaby się do gniazda i opuściła je. Jakiej więc zręczności potrzeba, żeby nie wzbudzić w zatrwożonej kurce nadmiernego niepokoju i podejrzenia! — posiadają szczególniej jeden ze strażników bażantarni Meriel, który wskutek tego jest nieoszacowanym dla tego zakładu.

Pisklęta kuropatwy szarej wykłuwają się między 24 a 25-tym dniem — kuropatwy czerwonej między 25 a 26-tym dniem.

Skoro tylko pisklęta zaczynają się wykłuwać, o czem świadczą rozrzucone koło gniazda łupki jaj, musi bażantarnik rozwinąć wszystkie swoje talenta. Chodzi teraz bowiem o to, ażeby z pomocą piskląt, wykłuwających się w inkubatorze sztucznym skompletować ilość piskląt, tak, żeby liczba ich dla każdej bażancicy wynosiła dwanaście, dla każdej kuropatwy ośmnaście sztuk.

Każda z kur przyjmuje ten dodatek bez usuwania się z gniazda, bez próby ucieczki, bo instynkt jej wyraźnie mówi, że zaziębienie młodych w tej chwili, kiedy jeszcze nie obeschły z wilgoci, jest nieodwołalnym wyrokiem śmierci. Zrezygnowana zatem na wszystko, nawet na ofiarę z życia, ubezwładniona miłością rodzicielską, która w tej chwili przemawia w niej z całą siłą, pozwala zbliżyć się do siebie. W tych warunkach zatem, gdzie ręka ludzka pomogła do ewolucyi sił natury, naginając je do swoich widoków, kończy się peryod wysiadywania, pisklęta dodane schną pod opiekuńczemi skrzydłami przybranej matki wraz z jej prawowitemi dziećmi, ich głosiki łączą się we wspólny koncert i stają się bez różnicy przedmiotem tej samej i takiej samej macierzyńskiej czułości.

Jeżeli gniazdo składa się z kuropatw czerwonych, kuropatwa szara, która je wysiedziała, przyzwyczaja się powoli do ich odmiennego głosu i zajmuje się niemi z całą serdecznością. Obecnie rozchodzi się o to, aby te gniazda w liczbie przepisanej i w ogłoszeniach podanej, z kurą, jeżeli to są bażanty, z parką rodzicielską, jeżeli to są kuropatwy, wyłapać bez ich najmniejszego uszkodzenia i wysłać je koleją lub innym sposobem na miejsce przeznaczenia.

A więc przedewszystkiem ujęcie całego gniazda. Ze starymi ptakami nie wiele trudności, bo one nie uciekają, lecz same, broniąc młodych, oddają się poprostu w ręce strażnika. Pisklęta, na pierwszy alarm ze strony rodziców, przywarowują do ziemi i bez ruchu leżą skryte pod pierwszym z rzędu listkiem, wśród ździebeł trawy, i to tak skryte, że nawet najwprawniejsze oko spostrzec ich nie może. Wyłapanie wszystkich piskląt byłoby więc niekiedy bardzo utrudnione, a nawet niemożliwe, gdyby nie to, że strażnik ma w zapasie rozmaite fortele, którychby mu pozazdrościć mógł Indyanin. Specyalnie jeden ze strażników bażantarni p. Galicheta ma być mistrzem w tym kierunku — wyraża się on nie bardzo poprawnie po francusku, ale za to mówi doskonale i z najlepszym akcentem rozmaitymi językami zwierząt, wśród których żyje. Na podstawie tych specyalnych wiadomości językowych umie on przywabić do paści albo pod lufę każdego wroga swoich pupilów — dyalekt łasiczki, język lisa, miauczenie kota, głos sroki, wszystko to zna on doskonale — w ogóle bity on jest na punkcie języków obcych. I tutaj pokonuje on łatwo opór piskląt, naśladując głos matki, na który wybiegają one z ukrycia i bez trudności dają się ująć.

Aby usunąć wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogłyby spotkać pisklęta w podróży, a mianowicie, żeby matka zestraszona lub chcąc w ogóle użyć ruchu nie zadeptała maleństwa, wysyła się całą rodzinę w dwóch odrębnych paczkach. Kurę bażancią lub parę kuropatw, po zdjęciu z nich pęt, zamykają w specyalnie zbudowanej skrzynce — pisklęta wkładają do osobnego, wyłożonego miękko pudełka, urządzonego tak, żeby miały powietrze i ciepło, jedyne rzeczy, których przez czterdzieści ośm godzin po wykłuciu się z jaj potrzebują. Wiadomo, że w tym czasie odbywa się w nich resorpcya żółtka, które dla nich jest przez ten czas wystarczającem pożywieniem. Jest rzeczą bardzo dobrą, gdy przesyłce tej ktoś towarzyszy, a mianowicie dla tego, że koleje nie zawsze mają potrzebne dla takiej przesyłki względy i wypada nieraz chronić skrzyneczki z żywym tym materyałem rozpłodowym, przed rzucaniem gwałtownem, zastawianiem innemi skrzynkami i innemi niebezpieczeństwami eiusdem farinae.

Na podstawie długoletnich doświadczeń przekonano się, że lęgi, wysłane we dwadzieścia cztery godziny po wykłuciu się z jaj, mogą bez ujmy dla zdrowia odbyć podróż dwudziestocztero —lub pięciogodzinną.

Natychmiast po przybyciu na miejsce pisklęta wraz z rodzicami należy przenieść na miejsce, gdzie mają być wypuszczone i to o ile możności na dwie godziny przed zmrokiem — wysyłkę reguluje się w tym celu odpowiednio.

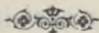
Wypuszczenie całej rodziny, zamykające seryę jej przejść i emocyi, których musiała ona doświadczyć, jest koroną całej operacyi i jej zakończeniem.

Manipulacya ta wymaga zatem pewnej zręczności i powinna się odbywać wśród największego spokoju i z wszelką ostrożnością. Dwa zadania są tu do wykonania — najprzód musi, względnie muszą rodzice readoptować odłączone pisklęta, następnie muszą się razem z niemi na stałe już emancypować. Nie należy zapominać, że ma się tu do czynienia z istotami nieufnemi, dzikiemi, które pragną tylko jednego, to jest pożegnać się z naszym widokiem jak najprędzej i frunąć. Readopcya odbywa się za pomocą znowu specyalnie zbudowanej skrzynki. Jest to skrzynia przedzielona na dwie nierówne części zapomocą zasuwki, dającej się łatwo wysuwać. Kilka otworów w górze pudełka, doprowadza powietrze. Pudełko stanowi zatem przestrzeń prawie ciemną. Ptaki wkłada się przez otwory zrobione w większej przegródce — jeden znajduje się w górze i zamyka się wieczkiem, drugi zrobiony jest w węższym końcu z boku i posiada zasuwkę z małym otworem zakratowanym. Trzymając stare sztuki mocno za łapki — (ptak ujęty energicznie za łapy, tak że niemi ruszać

nie może, siedzi spokojnie i nie próbuje nawet trzepać skrzydłami) — wkłada się je przez ów otwór zamknięty wieczkiem do klatki i to do mniejszego przedziału — należy zatem zasuwkę dzielącą obie przedziałki przy wkładaniu rodziców podnieść, a potem ją zasunąć. Zasuwka ta jest jednak tak urządzona, że nie sięga dołu skrzynki — między nim a końcem zasuwki pozostaje trzech — do czterechcentymetrowa wolna przestrzeń, tak, że pisklęta mogą się nią przesunąć. Spód skrzynki wysypuje się miałkim piaskiem, na który posypuje się garść jaj mrówczych. Skoro ptaki, włożone do klatki uspokoiły się należycie, przychodzi chwila do wpuszczenia młodzieży do skrzynki, aby mogły się połączyć z rodzicami. W tym celu przykłada się do otworu końcowego większego przedziału skrzynki małe pudełko, zawierające pisklęta, stroną, która zamknięta jest zasuwką, zasuwki obydwie dzielące podnosi się i wtedy drobiazg, głodny i wzywany głosem rodziców, przechodzi bez wahania do większego przedziału skrzynki — tutaj odnajdują się rodzice i dzieci, odzywają się głosy pełne zadowolenia — węzły rodzinne, przerwane i rozluźnione chwilowo przez podróż nawiązują się na nowo — readopcya jednem słowem odbyła się w całej pełni. Przed oddaleniem się strażnik powinien się zapewnić, że żadne pisklę nie zostało w pudełku i dopiero po tem zapewnieniu powinien spuścić zasuwkę dużej skrzynki. Młode zostają w zamknięciu z rodzicami przez całą noc. Zupełna emancypacya następuje dopiero na drugi dzień rano. Przed świtem jeszcze strażnik podnosi zasuwkę, która dzieli obydwa przedziały skrzynki. Potem, kiedy rosa obeschła, posypuje przed skrzynką trochę drobnego ziarna, trochę jaj mrówczych i posiekanego żółtka, poczem otwiera zasuwkę zewnętrzną. Wszystko to powinno się odbyć jak najciszej i najspokojniej, ażeby nie wywołać paniki między lokatorami klatki. Po otwarciu zasuwki powinien strażnik oddalić się jak najciszej i skryć się za najbliższym krzakiem. Uspokojone ciszą i znęcone rozsypanem przed skrzynką jadłem wychodzą pisklęta jedno za drugiem z pudełka pomimo ostrzegawczych głosów niezupełnie jeszcze uspokojonej matki. Ale i ona powoli zaczyna nabierać zaufania do sytuacyi, wychyla głowę ze skrzynki, zapewnia się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi jej dzieciom, wychodzi w końcu sama, zgromadza koło siebie całe gniazdo i znika w najbliższem zagajeniu.

Tem kończy się cała operacya — młode pisklęta są jeszcze za słabe, żeby mogły daleko ujść — rodzice zaś są zanadto do nich przywiązani, żeby je opuścić — w ten sposób zapewnionem jest, że całe gniazdo pozostanie w tem miejscu, gdzie się je wypuściło.

W ten sposób otrzymał np. departament Seine-et-Marne kuropatwy czerwone, zwierzynę, która tam nigdy nie mieszkała i dla której nawet teren nie bardzo jest w tym departamencie sprzyjający. I nie ma obawy, żeby te kuropatwy wyemigrowały po dorośnięciu, w jesieni, chyba, żeby kto był na tyle nieostrożny i zabił parę starych kuropatw, służących im za rodziców i opiekunów. Gdy raz zimę razem przebędą i znajdą odpowiednie na terenie im przeznaczonym pożywienie, nie oddalą się z niego, lecz owszem na najbliższą wiosnę będą się gnieździć. (C. d. n.)



Spostrzeżenia z natury.

Spisał Józef Padlewski.

(*Walki ptasząt o nocleg — sokół w pogoni za czajką — orzeł skalny chowany*).

Każde stworzenie dbałe o swój byt, który stara się przedłużyć jak najbardziej, ma różne sposoby i rady na utrzymanie swojej egzystencyi — umie więc znaleść sobie pożywienie odpowiednie, wodę, umie unikać tego, co mu szkodzi, miejsc na mieszkanie niestosownych i niezdrowych, w których czyha na nie nieprzyjaciel, umie sobie wynaleść schronienie na noc na odpowiednich drzewach, w szczelinach, starych rozpadlinach skalnych lub budowlanych, w wieżach kościelnych i tym podobnych miejscach zacisznych, zabezpieczających od deszczu, zimna, wilgoci, a przedewszystkiem dających potrzebny każdemu stworzeniu spokój do nabrania sił życiowych na dzień następny. Jestto taką ważną dla każdego stworzenia rzeczą, że o dogodne miejsce spoczynku nawet wśród najłagodniejszych ptaszków ostre wybuchają się spory. Przechadzając się wieczorem po ogrodach lub zagajeniach, widzi się, jak gorliwie ptaszki, powracające z całodziennej pracy nad znalezieniem pożywienia, uwijają się celem zabezpieczenia sobie dobrego legowiska, zdawna upatrzonego i ulubionego. Jeżeli ptaszków jest więcej na jednem miejscu, widoczny jest wśród nich żywy ruch, uwijanie się, słychać ćwierk, a nawet przychodzi do walki. Niewtajemniczony w zwyczaje pasząt nie zrozumie, o co chodzi i dlaczego została zakłócona, a uprzejmość znikła? Odpowiedź krótka i jasna: przyczyną egoizm i chęć zdobycia dobrego i wygodnego dla siebie łóżeczka — zanika więc wszelki ślad dobrego wychowania, eleganckich form i zwykłych praw grzeczności, nawet wobec płci żeńskiej. Zasada pruska jest tu wszechwładną, mocniejsi fizycznie otrzymują pole dobrej nocy, wróble włażą do gęstego klombu, krzewu lub w dziupło ulubione przez sikory i sikorki, używając snu błogiego i bezpiecznego, a biedne sikorki nie mając swego pewnego, nocnego schroniska, nocując na świerkach lub w krzakach, stają się łupem nocnym srogiej ich tępicielki, wszystko widzą cej, a wszędzie się wkradającej nielitościwej sowy pójdźki.

Zauważyć można w ogóle u zwierząt i ptaków to zdobywanie sobie miejsca wygodnego na noc; z jakim to nieraz wrzaskiem i krzykiem przy zmierzchu sroki, wrony, gołębie dzikie, (gdy są już w stadzie w jesieni) sojki i t. p. inne ptastwo odbywa bójki o uprzywilejowaną gałąź noclegową lub ulubiony konar sterczący; napastnicy nic wtedy nie widząc i nie słysząc, dziobią się zajadle, zlatują od ulubionego miejsca aż na ziemię i tu jeszcze długo nieraz trwa walka — aż zwycięzca wróci na owo miejsce, nastrzępiwszy się i otrząsnąwszy z nadwyrężonych piór w walce, sadowi się do snu pokrzepiającego, ażeby wieczora następnego powtórzyć też samą rapsodyę, czy z równem szczęściem, jak poprzednio? trudno to bardzo ciekawskiemu sprawdzić, chociaż z pewnością to jedno z obserwacyj moich mogę

wbrew przysłowiu twierdzić, że „kruk krukowi przy zapasach o nocleg oko wydzióbie“ z pewnością.

Większą i zaciętszą bywa walka o dom niż o byt, bo z jakąż zgodą pobierają całe stada ptaków jednego gatunku pożywienie na jednem miejscu, ba, nawet z jakąż zgodą żerują kawki z gawronami, szpaki z czajkami, zięby z trznadlami i t. d. Dla zachowania bytu jednem z najgłówniejszych zadań ptąstwa jest strzeżenie się, ukrycie, ucieczka przed owym krwiożerczym, czyhającym wszędzie, jak kula spadającym na swą zdobycz, a nigdy prawie nie chybiającym celu swej drapieżnej zręczności zwykłym sokołem, lub sokołem kobuzem. Rozbójnik ten uzbrojony w szpony kończyste, jak igły, dziób zakrzywiony, ostry, wzrok znakomity, lot błyskawiczny, niszczy najpiękniejsze nasze ptactwo jak: skowronki, czeczotki, gile, szpaki, drozdy, sikorki, kosy i t. d., a i biedny wróbel, choć tak przezorny i ostrożny, pomimo danego znaku niebezpieczeństwa przez towarzyszy, nie zdoła wpaść do płotu ciernistego lub gęstego krzewu; w lot złapany, niesiony w szponach ku opodal stojącemu drzewu, piszczy przeraźliwie — kilku uderzeniami dzióba w głowę i oczy ogłuszony, piszczy coraz ciszej, nawpół oskubany, targany w kawałki, napół żywy, zostaje prawie żywcem połknięty. Nawet wbity w cierń płotu wróbel nie ujdzie śmierci; nieprzyjaciel bystrym wzrokiem dopatrzy go, wyciągnie z ukrycia swą długą, a tak potężnie uzbrojoną nogą — groźby, prośby, w końcu błagania o litość na nic się nie zdały — przyduszony i ochrypły ginie pod ściskającymi go szponami, jak wielu jemu podobnych i pokrewnych gatunków.

Jest przecież i tu wyjątek: piękna, lśniąca, towarzyska, zawsze czysta, zgrabna jak tancerka, ze strusiem piórem na skroni, z wdziękiem sunąca po zielonem pastwisku czajka. — Urąga i drwi sobie z krwiożerczych zamysłów sokoła; może być, iż będąc piękną, zalotną, przystojną, elegancką, przyjmuje jego na pozór zalotne umizgi i oświadczyny w sferach nadziemskich, bo w wysokościach ledwie okiem dostrzegalnych, za prawdziwej miłości objawy. Jednak obok kokieteryi jej i chęci podobania się, jest ostrożna, posądza i przewiduje, iż miłość ta tak nagła, przy bliższem zetknięciu się może być zawodną i może ukrywać cele krwawo się kończące. Zasady moralne wpojone przez rodziców za młodu są tak silne i niepokonalne, iż pomimo coraz gorętszych i coraz bliższych afektów powietrznego Apollina, gdy tenże ma już w swe namiętne uściski swą bogdankę porwać — ona ruchem błyskawicznym w bok się zwraca, unika zdradzieckiego pocałunku — wzlatuje nad fałszywym Apollinem, krzyknie szyderczo „Fi-gę — Fi-gę“ — rzuca wiotką kibicią, to w prawo, to w lewo, suknia jej lśni w słońcu brylantami i szmaragdami tak, że sokół wpada w coraz większy szał, a zarozumiały w swój lot i siłę, niepomny, iż nie wzbudził swem zachowaniem wzajemności, natęża wszystkie swe siły w celu złapania krasawicy, wzlatuje w powietrzu nad nią, spuszcza się piorunem ku niej i już, już pewny, że ją ma... Ona tymczasem w bok uleci, a potem w górę nad zawstydzonym amantem i znów woła „Figa — Fi-ga“. Powtarza się ten powietrzny przebiegany krakowiak długo, tak, iż mnie, siedzącemu na ziemi, i patrzącemu staje się on za długim, jednak ciekawy końca patrzę dalej, krakowiak wciąż trwa i to coraz w wyższych sferach; krakowianka jakby jej sił przybywało, coraz pewniejsza siebie i zwinniejsza, ruchy jej coraz prędsze, wyzywające, czardaszowe — a upewniające adonisa: „Niedotrzymasz“ „Fi-ga — Fi-ga“ — i tak się też stało. Ów Apollo niezwyciężony wobec wszystkich i wszędzie, ze spuszczoną głową, zawstydzony, wyśmiany uchodzi, nie dotrzymując tańca uroczej, zwinnej i lotnej czajce, która nawet z drwinami odprowadza swego amatora czas jakiś do przyległego lasku: tu żegna go jeszcze raz „Figa — Fi-ga“, zawraca potem do swych towarzyszek na zielone pastwisko, opowiada zdarzenie, ogólny śmiech z sokoła „Fi-ga — Fi-ga“. Słyszy to wszystko sokół, bo i słuch dała mu natura doskonały, zesmutniał i dał sobie słowo, że już nie zaczepi nigdy i nie pójdzie w tany z piękną ale tak lotną i za bardzo niedostępną czajką.

Wychowałem od młodości orła skalnego. Piękny to ptak, śmiały, dumny, uważny na otoczenie okoliczne; jak rycerz średniowieczny w swym zamku, tak on na spichrzu w Libertowie, przywiązany do swego wychowawcy, spadający jak meteor z niebotycznych sfer ku swemu karmicielowi na zawołanie „Ptaku, ptaku, pancernego znaku“. Wychowanym był od pierwszej młodości świeżem mięsem, później wronami, srokami i różnem ptastwem. Z początku w klatce, potem wypuszczony na wolność, trzymał się obszaru Libertowa 700 morgowego; można go było widzieć ciągle krążącego, zataczającego koła wspaniale, na odpoczynek i nocleg wracał zawsze na szczyt wysokiego spichrza. Dziwna rzecz, ów łupieżca i drapieżnik w stanie natury, wychowany, pouczony, wprawiony przykładem rodziców do napadów i morderstw, traci zupełnie cechę rycerza — rozbójnika. Nie robi wypraw w okoliczne bory na przejezdnych kupców, nie broczy swego krzyżackiego miecza w krwi Litwinów i Żmudzinów, nie wraca ze zdobyczą do swego ulubionego Malborga; lecz prowadzi spokojny żywot niemal zakonnika, zadowolony z kwesty podanej przez swego karmiciela i wychowawcę. Głównym i ciekawym rysem jego charakteru był antysemityzm, chociaż jego wychowawca wcale nim nie jest, a nawet z wielu względów pożądanym mu był nieraz żydek kupiec na zboże, konicz, bydło i t. d. Mój orzeł był dla mnie wtedy nieomylnym telefonem, bardzo pocieszającym, dawał nadzieję spłacenia wkrótce podatków zaległych osobisto-dochodowych, polegających na fantastycznych przypuszczeniach szanownych panów inspektorów. Orzeł spokojny, poważny dotychczas na szczycie spichrza, zaczyna się niepokoić i poruszać, krzyczy przeraźliwie, wzlatuje i uderza swym sposobem piersią w głowę przybysza: Landesdorfera, Goldbergera, Klingera, Szejna lub Englendera, — kapelusz spada, uderzony przestraszony, zadyszany wpada do dworu, a orzeł na swe miejsce ulubione. Wychodzę na spotkanie z miną pocieszyciela. „Jakto wielmożny pan może chować takie bestyje?“ „Ja je już jutro z pewnością zastrzelę“. Nie spełniłem obietnicy — bo znaleźli się niedzielni myśliwi z Krakowa,

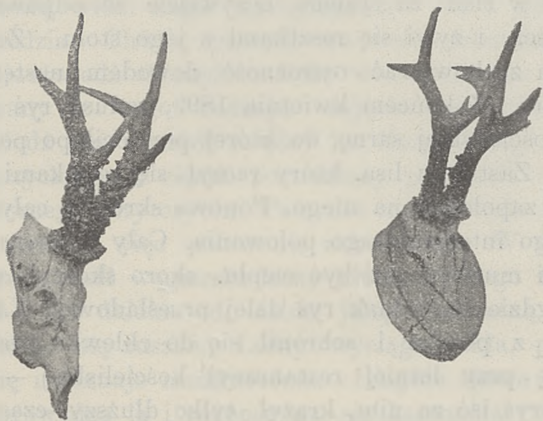
polujący w graniczących Opatkowicach, położyli kres jego żywotowi nie orlemu; nie miał on na sumieniu ani jednej gęsi, kury, zająca i t. p. Krety jedynie cieszą się; łowił je z przyjemnością, spuszczał się w miejsca ruszającej się ziemi, wbijał łapę, wyciągał kreta i dusił w szponach piszczącego. Dlaczego objawiał swą antypatyę tylko do rodu starozakonnego, pozostało zagadką. Przypuszczam jednak, iż orły obdarzone nadzwyczajnym wzrokiem, są podobnież dobrym węchem uposażone. Woń czosnku, cebuli, drażniąca nerwy węchu, oddziaływa w ten sposób, że pragnie on usunięcia przyczyny tego nienaturalnego nastroju. Czyżby i ruch naszych najniższych klas społecznych przed paru laty miał podobne przyczyny?



Los dwu kapitalnych.

Dziwna to zaiste rzecz, że stare rogacze, najlepsze w kniei, ostrożne i przemądre, za którymi myśliwy daremnie wszystkie fortele wysila, często stają się łupem kłusowników lub ludzi niepowołanych do takiej biesiady, którzy zabijając je przypadkowo, szukając pierwszych lepszych, na nie właśnie trafiają, nie umiejąc nawet ocenić zdobyczy. Dla ilustracyi tych kilku słów, niechaj posłużą fotografie parostków i następująca ich historya.

Okocim posiada w lasach swych bardzo dobre rogacze a niejeden już zdobi ściany pięknego zbioru w pałacu, parostki zaś dowodzą, że pasza ich właścicielom tam sprzyja a ludzie o nich pamiętają. Straż łowiecka wzorowo spełnia swoje obowiązki, dzięki temu zwierzostan z każdym rokiem jest lepszy a kłusownicy złe



mają czasy. W tegorocznych raportach wiosennych, jeden z rogaczy na tak zwanym Urbańcu, wspaniałymi parostkami zwracał na siebie uwagę, to też właściciel zagiął na niego parol. Mimo częstych wycieczek do Urbańca nie udało się spotkanie na strzał, ani właścicielowi, ani gościom, bo rogacz stary i przemądry, wychodził na łąkę dopiero wtedy, gdy zupełnie się ściemniało a prócz tego zjawiał się nieregularnie i nadzwyczaj był ostrożny. Koza, z którą wychodził, często sama na łąkach się pasła, on zaś z gąszczów przy brzegu lasu oczekiwał zmierzchu zupełnego a dopiero się do niej przyłączał.

Nie daleko łąki jest staw, gdzie kaczki stale przebywają, a na nie, wyłącznie, wolno było dzierżawcy folwarku polować. Tenże zaprosił sobie młodego akademika, który pewnego dnia wybrał się na kaczki. Idąc ku stawowi, przechodzi przez znaną nam już łąkę i widzi nagle na kilkanaście kroków od siebie dwie sarny, z których jedna potężne ma parostki. Była to godzina dziesiąta przed południem, słońce prażyło promieniami ognistymi, a rogacz ten stary, ostrożny mądrala, przypatrywał się uporczywie młodzikowi, stojąc, jak tarcza na 15 kroków przed nim. Nie wiele się namyślając, zapomniawszy, że na kaczki właściwie miał polować, posłał mu ładunek śrótu i na tę odległość nie mogąc chybić, uśmiercił jednego z najlepszych w kniei. Jaką przyjemność młokos ten wyrządził właścicielowi, popełniając zbrodnię najzwyklejszego kłusownictwa, to łatwo wyobrazić sobie można i chyba komentarzy nie potrzeba. Leśny przybiegłszy na strzał, odebrał wprawdzie strzelbę, zobaczywszy jednak rogacza, ledwie się nie rozpłakał. Wymiary parostków są takie: Długość pnia prawego 26 cm., lewego 25, rozpiętość 16 cm., obwód pnia nad różą 10 cm., pod pierwszą odnogą 9½, obwód róży 17, guza 8½. Cyfry te świadczą o niepospolitości parostków, w których przedewszystkiem nastręcza się oczom niezwykłe uperlenie i grubość, a w dodatku jest to ósmak nieregularny.

Historya dwunastaka i to regularnego, którego długość parostków wynosi 21 cm., jest krótka. Wychował się na podgórzu karpackiem, przeglądał w zwierciedle bystrego Dunajca, a strzeżono go troskliwie dla nadzwyczajnego gościa. Lecz cóż, pewnego dnia wieczorem, burza szalała nad lasami, deszcz zaś rzęsisty strugami spadał na ziemię. Hryć, który nie jedną sarnę już wygolił, korzystał z aury sprzyjającej, a siedząc pod smrekiem zaczajony, przemokłszy do nitki czekał i czekał. Straż leśna nie miała przeczucia, i dawno już spała spokojnie, gdy noc się wyjaśniła. Z lasu wyszła jedna sztuka na pole a garść siekańców z powiązanej jednorurki powaliła ją na ziemię. Sarna miała rogi, Hryć więc obciąwszy je szybko, schował w zanadrzu, mięso ukrył w gąszczach i powrócił wertepami do domu. W miesiąc później, Srul, przyjaciel serdeczny Hryńka i wspólnik w każdem złodziejstwie, nabył parostki za koronę i poszły w świat. Straż leśna miejscowa nie widywała już dwunastaka, dziwiąc się daremnie, gdzieby się on mógł podziać.

A. Sumiński.



POLOWANIE NA KACZKI.

Odtylcówka — Lankaster,
Flintpas — zdarte chodaczki,
Trudno z tem iść... *ad astra*,
Ale można na kaczki.

Pada słońce zachodem
W oparzelisk smug siny —
W zwartych kępach sitowia
Gwarzą kacze rodziny.

Szuru... szuru... po rzęsie!
Stary kaczor na przodzie
Lśniącą szyję przekrzywił
Bacznie śledząc po wodzie.

Niedaleko za tatą
Płyną mamy i córki,
Są cyranki, krzyżówki
A i wodne są kurki.

Istny raut na bagnie,
Pogawędka aż miło!
Goście jedzą kaczeniec,
Piją wodę — przegniłą.

Czasem rzesza figlarna
Dla popisu lnb wprawy
Zanurkuje w namule,
Wśród trzepotu i wrzawy.

Szuru... szuru... po rzęsie,
Idą szmery sitowiem;
Nad mokradeł smug siny
Księżyc sierpnym wbiegł nowiem!

Stary kaczor na warcie
Barwną w okół gnie szyją...
Czuwa... dobry gospodarz —
Inne.. jedzą i piją.

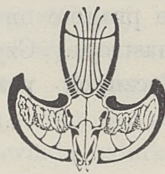
Nagle stanął na wodzie
Trwożnie spojrzał nad brzegi...
„Coś się święci“ pomyślał
I dalejże w przeszpiegi!

Powiosłował ostrożnie,
Mruży oko, wiatr chłonie,
Kwaknął hasłem na trwogę,
I sam w pędy na tonie!

Zahuczało, zawrzało,
Zaszumiało w sitowiu
Łopot skrzydeł uderzył,
Aż pod księżyc na nowiu.

Aport, Karo! do nogi!
Pif, paf, dublet z Lankastra,
Wraca Karo — a kaczki
Poszły sobie... *ad astra*.

St. T.



Z TATR.

„Weidmannsheil“ umieszcza korespondencyę podpisaną pseudominem „Waldläufer“, traktującą o stosunkach łowieckich w Tatrach, którą podajemy tu tem chętniej, iż tak mało mamy z tej strony wiadomości. Korespondent dziwi się, że nikt o tem eldorado łowieckim nie pisze i mówi: Przez kilku lat byłem w służbie u hr. Władysława Zamoyskiego i przyznaję, że mam najpiękniejsze wspomnienia myśliwskie z tych czasów. Na wysokich turniach żyje już wiele kozic, które w Galicyi są ustawą bezwzględnie chronione, ale od kłusowników wiele cierpią — a oprócz tego prawie wszystkie rodzaje europejskiej zwierzyny — nawet żubry, które sprowadził ks. Hohenlohe do swego zwierzyńca, a które tamtejsza ludność „dzikiemi krowami“ nazywa. Pomijam liczne rodzaje grubego czworonożnego zwierza i ptactwa i przystąpię do opisu drapieżnej zwierzyny. Od niedźwiedzia i rysia aż do łasicy, od orła aż do kobuza, wszystko tu jest reprezentowane — najliczniej czerwony rozbójnik — lis, który, nie mając drobnej zwierzyny do tępienia, poluje po największej części na drób domowy i na koty. W biały dzień pojawia się na podwórzu domostwa, schwycić kurę lub kota — to codzienne jego popisy. Oprócz tego chodzi on ślad w ślad za rysiem, oczywiście w odpowiedniej odległości, i żywi się resztkami z jego stołu. Że musi przytem zachowywać ostrożność dowodem następujące zdarzenie. Z końcem kwietnia 1899, zadusił ryś w dolinie Kościeliskiej sarnę, do której powrócił po pewnym czasie. Zastał tu lisa, który raczył się resztkami sarny i zaraz zapolował na niego. Ponowa skreśliła cały przebieg tego interesującego polowania. Cały kilometr uciekał lis i musiało mu być ciepło, skoro skoczył w Dunajec, gdzie go jednak ryś dalej prześladował. Lis wyskoczył z potoka i schronił się do chlewka znajdującego się przy letniej restauracyi kościeliskiej — tutaj bał się ryś iść za nim, krążył tylko dłuższy czas koło domostwa. Urządzono na niego polowanie, które się udało. Leśny Droździk był tym szczęśliwcem, któremu udało się go ubić. (Figuruje on obecnie w muzeum tatrzańskiem). Nietylko jednak w rysiu ma lis nieprzyjaciela. W sierpniu 1898 stałem na zasiadce na dziki — w tem pojawia się lis, który zwolna zbliża się ku mnie.

Miałem już strzelić do niego, gdy wtem nagle spada z góry orzeł, chwyta lisa w szpony i unosi. Kula z mojej strzelby dosięga jednak powietrznego rozbójnika, który spada razem z lisem. Dziś para ta wypchana tworzy odpowiednią grupę w muzeum tatrzańskiem. Że lis jest niekiedy sędzią, mam na to dowody. W moich oczach porwał krogulec sojkę, nie mógł jej jednak odrazu pokonać. Sojka narobiła wielkiego wrzasku. Nagle pojawia się, jakby z pod ziemi, lis, chwyta obydwie niezgodne strony i pożera. Wabik Uhlenhuta sprowadza go na bliższą odległość — wskutek czego mogłem mu śrótem wypłacić honoraryum za sprawiedliwy wyrok. Dowód nadzwyczajnej śmiałości dał lis, który wpadł na podwórze leśniczówki kościeliskiej o 1ej godzinie w południe i zabierał się do kota. Na lament kota wypadłem na podwórze i za chwilę było o jednego lisa mniej na świecie. Specyalnych polowań na lisa nie ma w Tatrach — najwięcej lisów ginie w zimie od strychniny. Dyrektor dóbr, p. K. Winiarski, podniósł jednej nocy 13 lisów. Nie wypada mi kończyć bez wspomnienia o królu gór tych, niedźwiedziu. Z powagą szedł leśny Jan Matyja ku działowi lasu, zwanemu „Ornak“, niosąc na ramieniu stary karabin wojskowy z bagnetem, w ręce zaś ciupagę. Na hali Pysznej przystępuje do niego baca i donosi, że mu niedźwiedź ubił konia i zaniósł w pobliskie krzaki. Matyja, zamiast zawiadomić o tem leśniczego, postanowił sam zapolować na tę „psiąkrew“. Najprzód wystrzelił na próbę do drzewa, stwierdził, że kula dobrze poszła, nabił karabin starannie na nowo, wziął dwóch pastuchów z ciupagami do pomocy i ruszył ku wskazanemu przez bacę miejscu. Przybywszy do trupa końskiego, zaczęli się bohaterowie naradzać, co zrobić, w tem daje się słyszyć trzask gałęzi i na dziesięć kroków przed oczyma zdumionych górali pojawia się niedźwiedź. Z wielkiego animuszu puszcza Jasiek kulę w ziemię — poczem rozpoczyna się dopiero polowanie — górale na dół, aż się dopiero w bacówce obejrzeli — niedźwiedź w górę. Na drugiej stronie szczytu wziął niedźwiedź ten jałowicę i wyszedł z całej afery zdrów i zadowolony. Podczas polowania w Zazadniej musiał nie żyjący już leśniczy Ch. oddalić się na chwilę ze stanowiska. W chwili bardzo drastycznej, kiedy strzelba oparta o drzewo od niego o kilka kroków się znajdowała, widzi nagle wychylającego się z gęstwiny niedźwiedzia. Chwilę patrzeli na siebie zdziwieni, poczem niedźwiedź skoczył w bok, widocznie nie bardzo zbudowany z tego rodzaju zajęcia na polowaniu. Niedźwiedź ten wyszedł między hr. Zamoyskiego, a hr. Dzieduszyckiego i ciężko postrzelony przeszedł za granicę spornego terytoryum. Tam nie można było za nim iść — z żalem więc polowanie zakończono. W dziesięć dni potem szedł węgierski leśny niedaleko tego miejsca i widzi dosyć daleko od siebie jakąś brunatną masę, która zdaje się ruszać. Leśny wyciąga szkła, przypatruje się i poznaje niedźwiedzia. Biegnie zatem po pomoc, sprowadza ją i rozpoczyna się kanonada. Strzały padają, jak grad — niedźwiedź się nie rusza. Nareszcie jeden śmielszy podchodzi bliżej i konstatuje, że w oczach niedźwiedzia już robaki się zagnieździły. Wiatr tylko ruszał kudłami na grzbiecie niedźwiedzia. Na ponowie, która spadła w październiku, obcięto niedźwiedzia w gęstwinie około półtora hektara mającej i zaraz urządzono polowanie. Strzelcy rozstawili się, a jeden z gajowych miał przepędzić ten miot. Ponieważ jednak nie miał odwagi wejść w gęstwinę, strzelił w nią. Niedźwiedź rozbudzony z miłego snu, wypadł na linię strzelców, a mianowicie na jednego z nich, tak blisko, że go ledwie nie przewrócił. Myśliwy ten nie miał już czasu przyłożyć strzelby do twarzy, lecz spuścił kurek tak, jak trzymał strzelbę. Szczęśliwym przypadkiem strzał ten rozciągnął na miejscu niedźwiedzia. Przez dwadzieścia minut jednak zamknęło szczęśliwemu myśliwemu mowę — prawdopodobnie ze szczęścia. W Smreczynach mieszka do dziś dnia pastuch, Jan Sterczula, który wygląda na wielkoluda i posiada rzeczywiście niedźwiedzie siły. Raz w lecie, kiedy był tylko z córką w kolibie, napadł niedźwiedź na jałówkę i zaczął ją unosić. Sterczula, który nie mógł na prędce znaleść ciupagi, chwycił za pierwszy lepszy kół, dopędził niedźwiedzia i zaczął go tak okładać, że puścił jałówkę, a sam uciekł.

Korespondent wyraża przy końcu nadzieję, że może się znajdzie ktoś wprawniejszy w piórze, który się zajmie ciekawymi stosunkami łowieckimi w Tatrach — my także wyrażamy tę nadzieję, sądząc, że te stosunki więcej naszych myśliwych mogą interesować, niż myśliwych czytających dziennik celowiecki.

Red.



Korespondencye.

Podkamień, 1. września 1902.

W znanej, bardzo starej sztuce: „Trójka hultajska“ wiecznie pijany szewc powiada: „Za wiele piłem nieraz już w życiu, ale nigdy jeszcze nie piłem dość“. W myśliwstwie ten frazes mógłbym sparafrazować co do siebie w ten sposób: „Za wiele polowałem nieraz już w życiu, ale nigdy jeszcze nie polowałem dość“. Tyczy się to właściwie wszystkich rodzajów polowania, ale nadewszystko polowania z wyżłem na kszyki i dubelty, które obok toków, głuszca i cietrzewia, zawsze na pierwszem kładę miejscu. Pomimo podeszłego wieku, dziś jeszcze, z zapałem studenta na wakacyach, gonię na te łowy. Od wschodu do zachodu słońca, jestem zawsze gotów chodzić po bagnach, nie czując znużenia, ani demoralizacyi z powodu małej ilości zwierzyny. Z wyżłem na suche pole od wielu lat już nigdy nie chodzę, bo to polowanie nie ma już dla mnie uroku, ale na bagna iść, zawsze gotów jestem, choćby za kilkoma kszykami lub dubeltami na dzień: „a nigdy tego nie mam dość!“ Bo tożto czar niewypowiedziany leży dla mnie w tem polowaniu! Na żadnych innych łowach (chyba na toki, lub rykowisko jelenia) byłbym dziś w stanie bez towarzystwa polować — a wyznaję, że na polowaniu błotnem samotność jest mi pożądaną, pragnę jej i szukam. Słynny pogromca lwów, Jules Gérard, pisze w swoich pamiętnikach, że po zabiciu lwa, zaraz z największą przyjemnością szedł polować na kszyki, gdy żadna inna zwierzyna już dla niego uroku nie miała.

Z długoletniej mej praktyki na tem polu stwierdzić mi przychodzi, że od kiedy broń noszę, nie pamiętam tak fatalnego roku, jak obecny, chociaż zdawałoby się, iż wszelkie warunki były sprzyjające, i obfitego przylotu długodziobów należało się spodziewać. Rzecz się miała jednak wprost odwrotnie. Sądzićby można, że to może mój „pech“ partykularny powiódł mnie przypadkowo na błota, na których nic nie było — ale — kogo zapytam z moich towarzyszy broni — każdego ten sam los spotkał — i słychać w koło same jeremiady. Jak Mahometanin do Mekki — tak i ja z początkiem sierpnia, jak co roku powędrowałem z wyżłem i z iglicówką na sławne brodzkie i pieniackie błota — by jak co roku użyć kilkudniowych uroczych wakacyi, oderwawszy się od mego biurka, do którego całą wiosnę i część lata przykuty byłem. Niestety! wszędzie pustki niewidziane. Dość powiedzieć, iż na tej samej przestrzeni błot, na której w zeszłym roku podniosłem 175 sztuk kszyków i dubeltów, w tym roku podniosłem dubeltów 6 i 3 kszyki. Istna rozpacz. Czy to kszyki i dubelty przeczytały może przypadkiem broszurę Wityka i zastrejkowały także jak obałamuceni chłopi na Podolu? Przeczytały ją z pewnością — gdyż z gazet nie mogły się o jej treści dowiedzieć, tę bowiem w *„Dzienniku Polskim“* nasza prokuratorya skonfiskowała — chociaż samej broszury nie skonfiskowała wcale.

Rok to istotnie anormalny! Nie pamiętam tak słabego z wiosną ciągu wszelkiego ptactwa — a w lecie takiej ciszy w przyrodzie. Ani przepiórka w zbożu nie zakwili, ani się derkacz nie odezwie na łące — nawet drapieżny ptak rzadko kiedy ukaże się na horyzoncie. To istny ptasi strejk! Tak jest przynajmniej w mojej okolicy — i we wszystkich, które w tym roku zwiedzałem.

I czemuż to przypisać? Chyba temu, czemu mędrcy dziś w gazetach przypisują wszelkie anormalności, które w świecie widzimy — to jest wybuchowi wulkanów na Martynice. Przypuszczają już nawet, że zawalenie się Campanilli w Wenecyi było także wynikiem tych wybuchów. Może też i ten tegoroczny strejk ptasi wyszedł z Martyniki a nie z broszury Wityka? Obawiać się należy, by te strejkujące kszyki i dubelty, tam gdzieś na Północy spotkawszy się z dążącemi do nas słomkami — też nie namówiły ich do strejku i by one wskutek tego po św. Michale nie odmówiły tu jawienia się do roboty. Bardzoby mnie to zmartwiło, gdyż mam właśnie do słomek teraz partykularny interes. Oto każdej, która tu nadleci, chciałbym szepnąć do ucha, by nie pozwalała na przyszłość wykoszlawiać swego nazwiska błędną pisownią, która teraz u nas w modzie. Heraldyczne dzieła tego rodu: Linde, Kurowski, Taczanowski i t. d. wykazują, iż od najdawniejszych czasów pisano je „słomka“ a nie „słonka“, a tej pisowni trzymali się Mickiewicz, Wincenty Pol, Goszczyński, Zaleski i t. d. Były tu już liczne polemiki w tym względzie, ale te ortograficzne spory do pożądanego wyniku nie doprowadziły. Etymologia przecież wydobyta z innych języków słowiańskich jasno wykazuje, że w tem nazwisku, w języku polskim, może być tylko litera: „m“ lub (ą) ale nigdy „n“. Twierdzenia, iż ta nazwa pochodzi od słonka zachodzącego — najmniejszego nie ma prawdopodobieństwa — jakaż bowiem ogromna ilość i innego ptactwa ciągnie po zachodzie słońca! Wobec tego przekonany jestem, iż każdy z tych długodziobów, jeśli szanuje siebie i swoje rodowe tradycye, będzie się zawsze podpisywał: „słomka“. Zresztą — mniejsza o to, jak się one tam pisać będą, byle do nas w jesieni przyleciały; bo na teraz, gdy na błotach nie ma do czego strzelać, nic nie pozostaje, jak tylko chyba gazetę czytać, i śledzić przebiegu zatargów o Morskie Oko! — Ach! — to Morskie Oko!... jakżeż ten zatarg mnie martwi! Jakikolwiek będzie wynik tej sprawy — to tylko pewne, że nam jeszcze jeden nieprzyjaciel przybędzie — a to sąsiad nasz Węgier, który przecież dotąd — już przez wzgląd na znaną starą piosnkę — był naszym: „bratankiem“. Radością zaś napełnić nas może podana w niektórych dziennikach wieść, iż władca berliński, wybiera się ze swoim sztućcem Mauzerem, gdzieś w węgierskie Tatry, na polowanie na kozice. Prawdopodobnem jest, iż tam, na szczycie jakiejś wysokiej góry, wygłosi siarczystą patryotyczną mowę polską — by znowu Europę w zachwyt i zdziwienie wprawić.

Wspomnienie o kozicy mimowoli myśl nasuwa, że ta szlachetna zwierzyna w Tatrach zakopańskich już od przeszło ćwierć wieku, na mocy ustawy, absolutnej używa ochrony. Nie wiem jak ta opieka wykonywaną bywa i czy ta abstynencya nasza, nie idzie na benefis spokojnego sąsiada Zakopanego, księcia Hohenlohego i jego dzielnej łowieckiej straży — gdzie jak słyszałem — podobna ochrona nie istnieje. W każdym razie, od tej pory, kozice w górach zakopańskich byłyby się powinny rozmnożyć jak dzieci Izraela w Galicyi. Czy tak jest w istocie?

Pożądanem byłoby bardzo, gdyby ktoś, obznajomiony z tamtejszymi stosunkami, raczył nas w tej tak bardzo, dla łowiectwa krajowego, ciekawej sprawie oświecić — za co mu z pewnością czytelnicy *„Łowca“*, wdzięczność będą winni.

Leopold hr. Starzeński

Wał Ruda koło Radłowa, d. 5. sierpnia 1902.

Tak jak w każdym roku, tak i w tym chciałem w swoim czasie podać rezultaty z tegorocznych polowań t. j. za czas od 1-go lipca 1901 do końca czerwca 1902, ale ponieważ większych polowań wcale nie było, a jakie były wypadały źle, bo zawsze nam deszcz przeszkadzał i nieraz nie dokończywszy polowania uciekaliśmy do domu, więc też proszę się nie dziwić, że dotychczas ze sprawozdaniem zwlekałem, ale pomyślawszy sobie, że lepiej później, niż nigdy, zabrałem się do zapisków i książki kasowej, aby zliczyć ilość sprzedanej zwierzyny i wypłaconego strzałowego w zeszłym roku administracyjnym.

W całych dobrach radłowskich, należących do Wgo Henryka Dolańskiego strzelono w wyżej podanym czasie:

rogaczy	71
zajęcy	143
kaczek	18
kuropatw	129
kszyków	49
lisów	35
kun	2
łasiczek	7
kotów	37

psów	21
jastrzębi	28
wron i srok	282
bocianów	9

Strzałowego wypłacono personalowi lasowemu 403 k. Za szkody, wyrządzone przez zwierzynę, zapłacono okolicznym włościanom 451 K. 20 h.

Co do kuropatw, nastąpiło wielkie rozczarowanie, bo kuropatw prawie nie ma, a co się natrafi, to albo starki, albo drobiazg, do którego nawet nie strzeliwszy, odchodzi się, za to zające widzi się dużo, więcej niż poprzednich lat.

Rogacze nasadziły prześlicznie w tym roku i trud, czy to na zasiadce, czy na podjazdach podjęty, sowicie się nagrodzi przez zdobycie ślicznych rożków.

Karol Scherautz.

Kurypów, 22. września 1902.

W sprawie wzmianki w *„Łowcu“* Nr. 16. b. r. o jeleniu widzianym w Temerowcach, sądzę, iż nie bez interesu dla myśliwych będzie tu bliższe wyjaśnienie, choćby z tego względu, iż schodzenie tej wspaniałej zwierzyny co raz niżej z gór, wskazuje na co raz silniejsze jej rozmnażanie się. Otóż kończyny przedgórza karpackiego pod Haliczem, po prawej stronie Dniestru, a lewej stronie Łomnicy, która tu ma ujście do Dniestru, tworzą nieprzerwany kompleks lasów, na który się składają majątki a to: najbardziej nad Dniestr wysunięty, bo dotykający go Dorohów i Kurypów, p. Dr. Edwarda Kozickiego, dalej w kierunku już ku górom, Pukasowce, Błudniki i Siedliska p. Zyg. Jaroszyńskiego, dalej małe laski Seredne i Wojniłów pp. Postruskich, miejskie lasy Wojniłowa i Temerowce pp. Romanowskich, a dalej już nieprzerwany ciąg lasów ku Stanisławowowi i Kałuszowi i dalej aż do granicy węgierskiej. Tego roku na wiosnę dostrzeżono najpierw w majątku p. Jaroszyńskiego, w lesie siedliskim w stronie od granicy Temerowiec i Wojniłowa, błąkającego się jednego jelenia, grubą sztukę, później dostrzeżono również tam 3 łanie, w końcu wiosny jeszcze jednego jelenia mniejszego.

Przez całe lato, aż do obecnej chwili, ta familia jelenia kręci się tu po lasach; najczęściej widzieć się dają ci niezwykli, a tak sympatyczni i upragnieni goście w lasach majątku błudnickiego od strony Temerowiec i Wojniłowa a zatem od strony gór, a raczej od strony przedgórza. Leśniczy majątku błudnickiego posiada już nawet tu tego roku zrzucony i tu znaleziony jeden róg jeleni. Na razie jest więc ta szanowna familia stałym naszym gościem; czy pozostaną tu na czas zbliżającego się rykowiska i czy zechcą nam wyprawić kilka niezwykłych w tych stronach koncertów, czy też powrócą w swe strony rodzinne, wskaże nam bardzo niedaleka przyszłość, na razie my się nimi cieszymy, a jak, to już każdy z pod sztandaru św. Huberta pojmuje i dlatego też — choć radość z cudzego zmartwienia jest rzeczą niepiękną — cieszymy się niewymownie, iż jeleń ten okazał się szanownemu korespondentowi, gdy był on w tak niemiłem dla myśliwego położeniu, że mógł go tylko (i to kiepsko — bo za wielki) od deszczu okryć parasolem, na co jednakże jeleń jako dzikie, pierwotnej kultury jeszcze stworzenie, niedbające więc o wszelkie wynalazki, służące przeciw przykrościom aury, zgodzić się nie chciał i życząc dobrej nocy z honorem i powagą, a lekceważeniem dla parasola w las się schronił, używszy poprzednio na owsie wspaniałego posiłku, tak mu potrzebnego dla wzmocnienia sił na niedalekie zaloty — my się zaś niewymownie radujemy, że szanowny korespondent tylko z parasola palił „dobranoc“ i w ten sposób nie pogrążył nas w rozpaczy z powodu utraty jednego z naszych, tak mile widzianych, gości.

Modest Douillet.





Karol hr. Dzieduszycki.

Dnia 14 bm. zakończył życie, po długich cierpieniach, hr. Karol Dzieduszycki, poseł do Rady państwa, prezes Rady powiatowej stryjskiej, delegat naszego Towarzystwa. Wśród długoletniej pracy publicznej czy to w powiecie, czy w Sejmie, czy na arenie parlamentarnej wyrobił sobie opinię człowieka, pełnego poświęcenia dla spraw publicznych. Pełen zapału i energii, zawsze czynny i zajęty, wzbudzał poszanowanie i uznanie nawet wśród przeciwników. Kraj traci w nim jednego z najlepszych, najzacniejszych swoich synów — Towarzystwo jednego z najznakomitszych przedstawicieli polskiego łowiectwa. Z głębokim żalem składamy do grobu wzorowego obywatela, niezapomnianego gospodarza kniei sichowskich, tak przez Niego umiłowanych.

Cześć Jego pamięci!





Sprawy Towarzystwa.

Posiedzenie Wydziału Towarzystwa z d. 29 sierpnia 1902. Obecni: Prezes hr. Stanisław Stadnicki, Wiceprezesowie hr. Juliusz Bielski i p. Seweryn Krogulski, członkowie pp. Czeżowski, Dzikowski, Hamerski, Nahlik. Po odczytaniu protokołu rozwija się dyskusya

nad sprawą wyjątkowego zniżenia wkładki dla niektórych członków. Wiceprezes p. Krogulski wyjaśnia sprawę, poczem zdaje sprawę z czynności biura i stanu kasy. Sądzi, że należy wydrukować stanowczą odezwę do tych członków, którzy za lat kilka wkładek nie zapłacili z wezwaniem natychmiastowego uiszczenia tej wkładki — w przeciwnym razie zagrozić wykreśleniem z Towarzystwa i ogłoszeniem nazwisk w „*Łowcu*“. Prezes odczytuje tenor dyplomów honorowych dla ustępującego prezydyum, tj. JE. hr. Romana Potockiego i Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Petycyę Towarzystwa o przydzielenie pewnej części funduszów uzyskanych z kart łowieckich na cele łowiectwa odczytano i polecono zarządowi wnieść ją do Wydziału krajowego. W sprawie kart myśliwskich jest hr. Bielski zdania, że deputacya, która ma być wysłana do JE. p. Namiestnika, powinna się domagać, aby Starostwom polecono przestrzegać ściśle obowiązku zaopatrywania się myśliwych w karty łowieckie — mianowicie powinna żandarmerya żądać okazywania tych kart, czego dotychczas nie robi.

P. Nahlik porusza sprawę wydawania certyfikatów na broń, wrzekomo dla ochrony ziemiopłodów przed dzikami, co jednak przyczynia się do ułatwienia kłusownictwa. Postanowiono wystarać się o wykaz posiadających karty łowieckie myśliwych po powiatach. P Krogulski referuje sprawę rozdania nagród z fundacyi im. hr. Józefa Potockiego. Józef Bahrij z Żyrawki otrzymał 50 koron, Józef Kwaśniewski 30 koron, Antoni Grzegorzak i Piotr Sawa z Bachorca po 20 koron.

P. Dzikowski przedkłada kartkę akcyzową, którą wydano na rogatce miejskiej we Lwowie, przepuszczając wieśniaka, z dwoma młodymi zającami. Uchwalono zwrócić się do Prezydyum magistratu z prośbą, by pouczyło podwładne organa o przepisach ustawy, której przedłożona kartka jest tak widocznem pogwałceniem. Hr. Bielski stawia wniosek, aby deputacya prosiła JE. p. Namiestnika o przyznanie delegatom Towarzystwa prawa wkraczania w razie, gdy przy sprzedaży zwierzyny spostrzegą nadużycia, świadczące o przekroczeniu ustawy łowieckiej. P. Czeżowski wyjaśnia, że przyznanie takiego prawa nie jest możliwem, że jednak Namiestnictwo może polecić Starostwom, aby delegatów Towarzystwa wspierały przy wykrywaniu nadużyć ze strony przekupniów zwierzyny. Stawia wniosek, aby Wydział zebrał w jednę całość wszystkie swoje postulaty i przedstawił je na najbliższem posiedzeniu celem poczynienia odpowiednich kroków. P. Nahlik żali się na rozwinięte silnie kłusownictwo, do czego przyczynia się łagodne jego traktowanie przez Sądy powiatowe — wnosi zatem, aby ta sama deputacya, która uda się do JE. p. Namiestnika, udała się także do JE. p. Prezydenta apelacyi w sprawie energiczniejszego ścigania kłusownictwa. Uchwalono. Na tem posiedzenie zamknięto.

Petycya do Wydziału krajowego, o której wyżej mowa, opiewa:

Ustawą łowiecką z dnia 25 marca 1898 wprowadzone zostały przepisy, na mocy których nikomu nie wolno polować bez wydanej przez właściwą władzę karty myśliwskiej, względnie bez zastępującego jej miejsce certyfikatu. Za kartę myśliwską poleciła ustawa opłacać 10 koron rocznie i opłaty te poleciła wcielić do funduszu krajowego.

Myśl, która przyświecała temu postanowieniu, polegała na tem, że przez uchwalenie tej opłaty, pragnęli ustawodawcy utrudnić kłusownictwo i wykonywanie polowania przez niepowołane do tego osoby, które przy tem wykonywaniu rozwojowi stanu zwierzyny nadmiernie szkodzą.

Wprowadzenie jednak kart nie spełniło oczekiwanego zadania. Kłusownictwo nie zmiejszyło się, gdyż rzecz oczywista, kłusownik nie poczuwał się zupełnie do obowiązku przy wykonywaniu swojego rzemiosła, będącego w sprzeczności ze wszystkiemi innymi przepisami ustawy, spełniać postanowienia odnoszące się do kart łowieckich i zaopatrywać się w nie.

Ciężar opłacania kart spadł zatem na te właśnie koła, które dla podniesienia tej gałęzi kultury krajowej bardzo znaczne wydatki czynią.

To opodatkowanie dla celów ogólno krajowych naszego łowiectwa, które dopiero zaczyna okazywać zarodki prawidłowej egzystencyi i które na każdym kroku potrzebuje pomocy i ofiar materyalnych, jest krzywdą temu łowiectwu wyrządzoną. Takiego podatku nie zażądała ustawa od pokrewnego łowiectwu rybołowstwa — cały bowiem dochód z książeczek rybackich przeznaczony został postanowieniem §. 27. ust. z d. 31 października 1887 Dz. u. kr. Nr. 37/1890 wydziałowi rewirów rybackich. Krzywda ta mogłaby tylko w ten sposób być wynagrodzoną, gdyby fundusz, uzyskany z opłat za karty łowieckie, mógł być użyty na cele rozwoju łowiectwa, co tem więcej się należy, że Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego stara się wszelkiemi siłami przez swoich delegatów po powiatach, aby zakorzenione w wielu okolicach niewłaściwości, polegające na tem, że władze powołane do tego przez palce na brak kart u myśliwych patrzą, usunąć i w ten sposób interesu funduszu krajowego z własną częściową szkodą przestrzega.

Wezwany do tego kilkakrotnie uchwałami walnego zgromadzenia Wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego zwraca się do Wysokiego Wydziału krajowego, o wydzielenie z funduszu, uzyskanego za karty łowieckie przynajmniej pewnej jego części i oddanie go do dyspozycyi Towarzystwu, celem użycia go na podniesienie rozwoju tej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Wydział Towarzystwa zastrzega się, że nie ma najmniejszego zamiaru używać tego funduszu na cele swojego wydawnictwa lub administracyi, gdyż na ten cel wystarczają wkładki jego członków — wydział pragnie tylko użyć i to pod ścisłą kontrolą Wysokiego Wydziału krajowego, tego funduszu na takie cele, które mają mieć ogólne znaczenie dla kraju, a które nie mogą być siłami jednostek w życie wprowadzone.

Celem takim jest przedewszystkiem podniesienie stanu zwierzyny, do którego dążyć należy przez odpowiednią opiekę nad jej rozmnażaniem się i nad chronieniem jej od wyniszczania przez niepowołane czynniki.

Środkami dążącymi do tego celu byłyby więc nagrody dla straży łowieckich, odznaczających się wybitnem spełnianiem swoich obowiązków pod względem

opieki nad zwierzyną, powołanie do życia zakładu, podobnego do zakładów zagranicznych, z których pomocą możnaby otrzymać zdrowe i silne egzemplarze zwierzyny do odświeżenia krwi, lub do podniesienia stanu zwierzyny tam, gdzie ona przez wypadki elementarne wyniszczoną została. Uniknęłoby się w ten sposób wysyłania znacznych pieniędzy za granicę, za które nadchodzą wątpliwej dla rozpłodu wartości egzemplarze zwierzyny. Z takiego funduszu mogłyby być wyznaczane nagrody za tępienie szkodników lotnych i czworonożnych, których całe mnóstwo wychowują Karpaty i ich podgórza, zatem te tereny, w których najmniej się je tępi. Tam wychowane drapieżniki niszczą zwierzynę w obszernej części kraju i mogą być tylko przypadkowo ubite, podczas gdy ich zupełne wyniszczenie byłoby tylko wtedy możliwe, gdyby wydano im energiczną wojnę tam, gdzie one mają swoje pielesze.

Nagrody za chwytanie kłusowników, za donoszenie o nich, za donoszenie o nieprawnej sprzedaży zwierzyny, miałyby także owo ogólne znaczenie dla rozwoju łowiectwa.

Oprócz tego celem podniesienia wartości łowiectwa należałoby pomyśleć o urządzeniu krajowego przedsiębiorstwa, któreby mogło zakupywać za odpowiednią cenę zwierzynę ubitą, dzisiaj, z powodu słabej pod tym względem organizacyi handlowej w kraju, w znacznej części idącą prawie na marne. Oprócz tego należałoby zwrócić uwagę na to, że obecnie marnuje się całe mnóstwo przedmiotów, które w innych krajach przynoszą dochód łowiectwu, a mianowicie skórki, pierze, rogi i t. p.

W końcu byłoby zadaniem Towarzystwa z pomocą tego funduszu starać się o jak najskuteczniejsze usunięcie konfliktu, jaki zachodzi między myśliwym, jako hodowcą zwierzyny a rolnikiem. Za granicą umieją szkody przez zwierzynę zdziałane ograniczać do wysokiego stopnia za pomocą różnych środków, których skuteczność zbadać byłoby celem Towarzystwa. Że praca w tym kierunku miałaby wysokie znaczenie dla poprawy stosunków krajowych, udowadniać nie potrzebujemy.

Prosimy zatem Wysoki Wydział krajowy, aby raczył na wyżej wymienione cele ogólnej natury wyznaczyć pewną część z funduszu, za karty łowieckie uzyskanego i oddać go do dyspozycyi galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, które byłoby obowiązane złożyć jak najdokładniej sprawę z użycia tego funduszu.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę Wysokiego Wydziału krajowego, że wysokość rocznego dochodu z łowiectwa i związanych z niem ściśle przemysłów od niego zależnych obliczono w Austryi na 31,000.000 koron. Jestto bardzo poważna cyfra — a jeżeli zważymy, że Galicya mogłaby produkować, licząc według jej obszaru i stosunków terenowych, siedm razy więcej zwierzyny, niż dotychczas produkuje, dojdziemy do przekonania, że choć już wiele na drodze rozwoju prawidłowych stosunków łowieckich w kraju uczyniono, to jednak wiele jest jeszcze do dokonania.

Środek, który wydział galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego ośmiela się pod rozwagę wysokiego Wydziału krajowego przedłożyć, byłby jednym z najlepszych w tym kierunku — dlatego pozwalamy sobie mieć nadzieję, że słuszna prośba Towarzystwa reprezentującego obecnie ogół myśliwych w kraju, nie pozostanie bez uwzględnienia.



Kronika.

Cietrzewie w Czechach. W ostatnich latach rozmnożyły się w Czechach w znacznej ilości cietrzewie. Namnożyło się dużo rewirów, które dawniej cietrzewi nie posiadały, obecnie zaś goszczą tę ponętną zwierzynę. W innych rewirach, w których już cietrzewie były, posunęły się one aż po granice rewirów głuszcowych. Interesującym jest fakt, że cietrzewie z bażantami żyją w zupełnej zgodzie, w tym samem rewirze — nawet, jak podobno skonstatowano w szkockich górach, gdzie podobne stosunki zachodzą, miały powstać z tej zgody mieszańce, które zachowują typ cietrzewia.

Wystawa rogów, która odbyła się w ostatnich czasach w Budapeszcie, a na której wystawione były tylko wieńce i parostki, nagrodzone na wystawach w ostatnich dziesięciu latach, liczyła 116 przedmiotów wystawowych — między nimi 60 wieńców jelenich, 30 parostków sarnich i 26 rogów kozic. Pierwszą nagrodę otrzymał Arcyksiążę Fryderyk.

Gruba zwierzyna w Chinach. Pod tym względem należą Chiny do błogosławionych krain. Jelenie z Altaju i z gór Thian-Shan stoją wyżej pod względem wzrostu i budowy od największych jeleni niemieckich — co się zaś tyczy sarn, to sarna mandżuryjska jest jednym z najpoważniejszych reprezentantów sarniego rodu pod względem budowy ciała i rogów. Dzików jest bardzo dużo, gdyż Chińczyk nie poluje na nie — tygrysy, niedźwiedzie, lamparty i rysie znajdują się tak w północnej części kraju, jak i w środkowej i południowej. Oprócz tego jest dosyć drapieżników mniejszych, jak kotów tybetańskich, wydr, borsuków, kun, na które polują bardzo gorliwie dla futra. Chiny są także ojczyzną jednego z najpiękniejszych bażantów, tz. „Lady Amherst", o którym pisał „Łowiec" w roku zeszłym.

Śmierć przemytnika. Koło Wernitzgrün, na granicy między Czechami a Saksonią, znaleziono w lesie zwłoki mężczyzny, który zawisł na drucianej pętli nastawionej na sarny. Był to zdaje się przemytnik, odnaleziony oczywiście przez kłusownika, który przyszedł po oczekiwaną zdobycz.



DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^{1}/_{2}$ ct. od wyrazu).

LEŚNIK z kilkuletnią praktyką, ukończoną szkołą lasową w Bolechowie, i z egzaminem państwowym, poszukuje posady. — E. Ossowski, Krzywcza nad Sanem, k. Przemyśla.

PARA CHARTÓW KRYMSKICH rasowych 9-cio miesięcznych (pies czarny, suka biała) jest do sprzedania. Bliższe wiadomości: „Książę Stanisław Jabłonowski (junior), Bursztyn“.

Zarząd dóbr Raj, poczta Brzeżany, posiada cztery młode łabędzie do sprzedania.

Strzelba lankastrowa, kal. 16, bardzo dobrze zachowana, roboty Peterlonga, do sprzedania za 60 zł. (kosztowała 120 zł.). Oglądać można w Administracyi w godzinach urzędowych.

Zgubił się na polowaniu w Kłodzienku, dnia 5 września 1902, wyżeł maści czarnej, z ciemno żółtemi podżarami i gwiazdką białą na piersiach, nazywa się „Don“. Zgłosić Gal. Tow. łowieckie Słowackiego 18.

Znaleźne 20 Koron.